

Andrzej Szahaj

Czy tylko równe szanse? O liberalnej polityce społecznej¹

W ujęciu co bardziej ortodoksyjnych liberałów pojęcie polityki społecznej jest z gruntu podejrzane. Uważają oni bowiem, że samo istnienie społeczeństwa jest wątpliwe. To wszak pani Thatcher stwierdziła, iż nie wie czym jest społeczeństwo, prezentując skrajane, ale popularne w obozie liberałów przekonanie, że realnie istnieją tylko jednostki, zaś takie twory jak społeczeństwo to wymysł socjalistów. Podejście to ma swoje zakotwiczenie filozoficzne w dziełach Thomasa Hobbesa oraz częściowo - Johna Locke'a. Dało ono asumpt do ukształtowania się stanowiska w łonie szeroko pojętego liberalizmu, które w wersji złagodzonej przyjęło postać tzw. neoliberalizmu, zaś w wersji skrajnej tzw. libertarianizmu. Jednakże w szeroko pojmowanym obozie liberałów można też spotkać poglądy, które z tak skrajnym indywidualizmem socjologicznym nie chcą mieć nic wspólnego. Prezentowane były m.in. przez filozofów i ekonomistów tworzących na przełomie XIX i XX wieku w Wielkiej Brytanii ruch tzw. Nowego Liberalizmu (m.in. L. Hobhouse). W dużej mierze po wpływie Hegla uważali oni byty ponadjednostkowe takie jak państwo czy społeczeństwo za realnie istniejące, co oznacza - nie dające się sprowadzić do mechanicznej sumy jednostek. Dyskusyjna jest pozycja Johna Stuarta Milla, który z pewnością nie był tak zdecydowanym zwolennikiem tego stanowiska, ale także na pewno nie sprowadzał społeczeństwa czy jakiegokolwiek innej wspólnoty do sumy ich części. W tym miejscu nie chodzi jednak o to, aby rozstrzygać jakiegokolwiek problemy teoretyczne związane z takimi czy innymi poglądami poszczególnych myślicieli liberalnych, ani też o to, aby głęboko sięgać wstecz celem zidentyfikowania źródeł tradycji liberalnej w myśli filozoficznej i politycznej, ale o to, aby pokazać, że nie istnieje żadna ortodoksyjnie liberalna wykładnia kwestii statusu ontologicznego społeczeństwa. Liberalizm jest w tym względzie równie wewnętrznie zróżnicowany jak cała myśl socjologiczna, w której spór o realność istnienia bytów ponadjednostkowych

jest tak stary jak ona sama. Dlatego też nie można wykluczać z grona liberałów kogoś, kto opowiadając się za realizmem socjologicznym uważa jednocześnie, że może istnieć liberalna polityka społeczna nie sprowadzająca się jedynie do stwarzania warunków poszczególnym jednostkom do zaspokajania ich pragnienia swobodnego rozwoju ekonomicznego i każdego innego, lecz operująca takim pojęciem jak np. dobro wspólne niesprowadzalne do dobra poszczególnych jednostek. Do takich właśnie liberałów się zaliczam. Uważam zatem, że nie ma sprzeczności pomiędzy stawianiem na pierwszym planie szczęścia i dobrobytu jednostki oraz dbaniem o to, aby owo szczęście i dobrobyt harmonizowały ze szczęściem i dobrobytem wspólnoty społecznej, której jednostka jest częścią. Co więcej uważam, że nie można być w pełni szczęśliwym żyjąc w nieszczęśliwym społeczeństwie. Opowiadam się zatem przeciwko pojmowaniu liberalizmu jako doktryny legitymizującej działania aroganckich egoistów, którzy ani myślą oglądać się na innych w swej pogoni za indywidualnym szczęściem. Nikt z nas nie jest samotną wyspą, ale częścią większej całości, której dobro powinien mieć na względzie. W tym sensie uważam także, że przekonanie typowe dla niektórych, co prymitywniejszych wersji liberalizmu, iż własność prywatna jest święta i można z nią robić co się zechce uważam za szkodliwe i niesłuszne. Własności prywatnej nie należy absolutyzować, choć nie oznacza to wcale, że nie należy jej szanować. Powinno się jednak dążyć do tego, aby korzystanie z niej nie było skonfliktowane z tym co w swobodnej i otwartej debacie jakaś wspólnota uzna za dobro wspólne. Aby sprawę nieco ukonkretnić dam przykład pokazujący jak kwestię tę należy rozumieć, i to przykład z naszego własnego, polskiego podwórka. Rzec dotyczy sprawy ładu przestrzennego oraz ochrony przyrody i krajobrazu. Wedle doktryny neoliberalnej czy libertarianistycznej każdy powinien mieć prawo wybudowania na własnej ziemi tego, co zechce. Realizacja tej zasady prowadzi jednak w praktyce do zjawiska znanego z wielu krajów na świecie, obecnego także Polsce. Chodzi o nieład architektoniczny, o zjawisko tzw. dzikiej developerki oraz o zamianę najpiękniejszych zakątków kraju w kompleksy turystyczne, czy prędzej czy później znamionujące degradację przyrodniczą i kulturową (bodaj

¹ Manuskrypt artykułu opublikowanego w: „Liberte”, 2011, nr 9, s. 58-63.

najsmutniejszym przykładem tego zjawiska w Europie jest Costa del Sol w Hiszpanii). Miasta w krajach, które pozostają wierne owej doktrynie neoliberalnej zamieniają się w chaotycznie zabudowane miejsca, nieomal pozbawione przestrzeni publicznej, poprzecinane drogami przelotowymi lub płotami odgradzającymi poszczególne osiedla, nieprzyjazne mieszkańcom, za to przynoszące zysk właścicielom poszczególnych działek zabudowywanych tak, aby wykorzystać każdy centymetr miejsca, wycisnąć z danego terenu maksimum zysku. Z kolei obszary o szczególnych walorach przyrodniczych i krajobrazowych stają się obszarem chaotycznej, intensywnej zabudowy turystycznej, w niektórych przypadkach zamieniających dany teren w turystyczny Disneyland. Zjawiska te znane z wielu miejsc na świecie z całą mocą występują także w dzisiejszej Polsce. Mam wrażenie, że w żadnym innym miejscu naszego życia społecznego nie widać tak wyraźnie zgubnych skutków implementowania doktryny neoliberalnej jak właśnie w budownictwie i gospodarowaniu przestrzenią. Niektóre nasze miasta z powodu chaosu architektonicznego, zawłaszczania przestrzeni publicznej przez prywatny kapitał, zabudowywania miejsc przeznaczonych dla wspólnego użytkowania (skwery i parki) zaczynają przypominać miasta trzeciego świata. Nieokiełznana chęć zysku przy biernej postawie państwa prowadzi do zaśmiecania naszych miast reklamami, degradacji ich krajobrazu kulturowego. Równie źle dzieje się z naszą przyrodą. Sposób zabudowy naszego Wybrzeża czy Mazur pokazuje, że nie wyciągnęliśmy żadnych wniosków z tragedii zabetonowanych wybrzeży Hiszpanii, Portugalii czy Malty. Fałszywie pojmowany kult przedsiębiorczości prowadzi do faktycznej przychylności władz różnego szczebla wobec skandalicznych działań prywatnych inwestorów, którzy łamią wszelkie zasady ochrony przyrody czy krajobrazu. Instytucje, które miały je chronić jak np. tzw. parki krajobrazowe okazują się całkowicie nieskuteczne w spełnianiu swej misji. Wystarczy przyjrzeć się temu, co dzieje się w parkach mazurskim (ponad dwa tysiące samowoli budowlanych!) czy nadmorskim (zabudowa klifów!), aby zobaczyć, że przepisy o ochronie przyrody i krajobrazu są w Polsce nagminnie łamane w imię nieograniczania prywatnej przedsiębiorczości. Polska przyroda i krajobraz ponoszą niepowetowane straty. Niepowetowane straty ponosi nasze dobro wspólne. Następne

pokolenia nie wybaczą nam tego, co zrobiliśmy z naszymi miastami i z naszą przyrodą. Uważam, że obowiązkiem liberałów jest o tym głośno mówić i zdecydowanie się temu przeciwstawiać, choć wiem doskonale, że to, co mówię zupełnie nie pasuje do tego, co sądzą o liberalizmie sami polscy liberałowie, a tym bardziej do tego, co sądzą o nim inni. Pokazuje to jedynie skalę strat, jakie poniósł liberalizm w Polsce w wyniku swej prymitywizacji i wulgaryzacji. Jestem przekonany, że moglibyśmy znaleźć znacznie więcej miejsc w naszym życiu społecznym, w których nasze dobro wspólne cierpi w wyniku stowania doktryny liberalnej w jej najbardziej prymitywnej wersji. Pokazuje to jedynie, że już najwyższa pora, aby liberalizm obudził się z amoku i powrócił do tych nurtów w swej tradycji, którym pojęcie dobra wspólnego nie jest obce. Myślę tu nade wszystko o wersji liberalizmu wywodzącej się z myśli Johna Stuarta Milla, najlepiej skonceptualizowanej przez wspomnianych wcześniej Nowych Liberałów oraz wielkiego filozofa amerykańskiego Johna Rawlsa. To im zawdzięczamy pewność, że liberalizm nie musi być skazany na to, aby promować egoizm i chciwość jako swe „cnoty”, że nie musi ulegać ideologii socjaldarwinizmu, w myśl której przetrwać/wygrać powinni tylko najsilniejsi (najlepiej dostosowani do środowiska), a reszta - sam winna swojej klęski - powinna z pokorą pogodzić się z losem. Liberalizm postmillowski może śmiało przyznać, że indywidualny sukces jednostki nie musi być elementem gry o sumie zerowej (aby ktoś wygrał, ktoś inny musi przegrać), ale rezultatem współpracy ludzi, którzy darząc się nawzajem zaufaniem dążą do uczynienia życia lepszym dla wszystkich członków danej wspólnoty, a nie tylko dla wybranych. To liberalizm, dla którego *równość* jest tak samo ważna jak wolność. To liberalizm, który uważa, że zamiast szczyścić się ilością miliarderów wprowadzonych na listę „Forbesa” powinniśmy szczyścić się stopniowym zmniejszaniem się liczby osób cierpiących biedę i wykluczenie. To liberalizm, który nie uważa państwa za przeszkodę na drodze osiągnięcia przez jednostki dobrobytu, ale za partnera, który ma ważne zadania do wykonania, przede wszystkim w sferze tzw. usług społecznych, gdzie - jak pokazuje doświadczenie - państwo sprawuje się lepiej niż prywatna przedsiębiorczość. To wreszcie liberalizm, który rozumie, że nie da się oddzielić od siebie różnych sfer ludzkiej egzystencji, stąd też walkę o wolność i równość

w sferze światopoglądowej i obyczajowej uważa za równie istotną jak walkę o wolność i równość w sferze ekonomicznej.

Z katalogu powyżej wymienionych cech dobrego liberalizmu chciałbym się teraz skoncentrować na sprawie równości. W moim przekonaniu liberalizm w ciągu ostatnich trzydziestu lat całkowicie ją zaniedbał. Neoliberalowie bezwstydnie i niezgodnie z tradycją liberalną poczęli wychwalać nierówności społeczne jako dobre, albowiem odzwierciedlające sprawiedliwość relacji rynkowych. Ich zdaniem istnienie wyraźnie oddzielonych klas oraz hierarchii społecznej i majątkowej jest znakiem społecznego zdrowia (szczególnie Pani Thatcher gustowała w głoszeniu tego typu „mądrości”). Zapomnieli o tym, że liberalizm był i powinien być orientacją emancypacyjną, która odniosła sukces w Europie, albowiem pozwalała klasom niższym uzyskać status klasy średniej, wyzwolić się z hierarchicznych zależności feudalnych i stworzyć przestrzeń dla inicjatywy jednostek, które nie oglądając się na różnice klasowe mogły zapewnić sobie sukces życiowy. Jakże daleką drogę przeszliśmy od tak pojmowanego liberalizmu do jego neoliberalnej karykatury, od orientacji, która służyła wyzwoleniu energii ludzi wcześniej skazanych na pozostawanie w stanie inercyjnej zależności od innych do doktryny, która legitymizuje nierówności klasowe jako naturalny element społecznego *milieu*. I to nierówności, które przybrały w latach dominacji neoliberalizmu formy nieznane w okresie powojennym. Jak bowiem pokazują dane statystyczne okres dominacji neoliberalizmu sprzyjał niezwyklej wprost koncentracji bogactwa w ręku nielicznych i względnemu ubożeniu klasy średniej oraz trwałemu ubóstwu klasy niższej¹. Nie przypadkiem to właśnie w bastionach myśli neoliberalnej, a mianowicie w USA oraz Wielkiej Brytanii skala nierówności społecznych mierzona tzw. współczynnikiem Giniego jest najwyższa wśród rozwiniętych państw zachodnich (skądinąd jest ona jedynie nieco większa od skali nierówności społecznych w Polsce, wraz z Wielką Brytanią, Portugalią oraz Estonią należymy do najbardziej rozwarstwionych krajów europejskich)². Nierówności społeczne w takim wymiarze są znakiem pogłębiającej się niesprawiedliwości społecznej, przyczyniając się do stopniowej delegitymizacji kapitalizmu i demokracji liberalnej. To proces bardzo niebezpieczny, może bowiem

prować do narastania nastrojów rewolucyjnych, a jak pokazują dzieje Zachodu sytuacja taka z reguły kończy się źle. Liberalowie powinni to dostrzec i domagać się odejścia od ortodoksji neoliberalnej i powrotu do głównego nurtu liberalizmu, co musi de facto oznaczać powrót do idei liberalizmu socjalnego, dla którego *równoważenie wolności i równości* jest zdaniem nadrzędnym. Każda wolność będzie owocować nierównościami, idzie o to, aby nierówności owe łagodzić. Dotyczy to przede wszystkim sprawy równych szans. To stary wątek myśli liberalnej dziś niestety zapomniany i zaniedbany. Tymczasem idea liberalna to idea równego startu i sprawiedliwej nagrody za wyniki. Liberalowie powinni zatem robić wszystko, aby taki równy start zapewnić wszystkim. W dzisiejszych czasach jest to przede wszystkim kwestia wyrównywania szans edukacyjnych, albowiem w społeczeństwie industrialnym (nowoczesnym), czy tym bardziej postindustrialnym (ponowoczesnym) edukacja jest głównym kanałem awansu społecznego. Sytuacja polska jest w tym względzie niepokojąca. Jak wskazują badania wybitnych polskich pedagogów (Z. Kwiecińskiego, T. Szkudlarka, E. Potulickiej, J. Rutkowiak i innych) wciąż nie udaje się nam doprowadzić do sytuacji, w której każde polskie dziecko miałoby te same szanse edukacyjne, co więcej szkoła polska - w dużej mierze właśnie pod wpływem ideologii neoliberalnej - nastawiona jest na szybką selekcję uczniów, co prowadzi do zamknięcia ścieżek awansu społecznego dla dzieci, które często z przyczyn warunkowanych neoliberalną ideologią edukacyjną streszczającą się w hasło „nie dajesz rady, to twój problem”, uznane zostały za niezdolne do sprostanienia wymogom współczesnej szkoły. Badania te pokazują, że w tym procesie selekcji odtwarza się struktura klasowa społeczeństwa³. Znakiem tego jest niewielka obecność studentów pochodzenia robotniczego i chłopskiego na studiach wyższych prowadzonych w szkołach publicznych. Dominuje młodzież inteligencka z dużych miast. Nie uelaga zatem żadnej wątpliwości, że państwo polskie nie radzi sobie z wyrównywaniem szans edukacyjnych, a zatem jeden z głównych postulatów myśli liberalnej (ale nie - neoliberalnej!) nie jest nim realizowany. Można śmiało stwierdzić, że również inny postulat myśli liberalnej, a mianowicie postulat nagradzania za osobiste zasługi a nie za pochodzenie czy znajomości nie jest w polskiej rzeczywistości realizowany. Merytokratyczne kryteria awansu są w

sporej mierze fikcją, co wiąże się z wciąż nie wykorzenionym nepotyzmem, a także istnieniem sieci klientelistycznych zależności obecnych w szczególności w strukturach samorządowych⁴. Liberalowie powinni wyraźniej opowiadać się za znoszeniem wszelkich barier w awansie społecznym, otwartością urzędów i stanowisk dla wszystkich, którzy spełniają kryteria merytoryczne oraz bardziej zdecydowanie domagać się do państwa wyrównywania szans edukacyjnych choćby poprzez rozbudowany system stypendialny. W żadnym wypadku nie powinni jednak na tym kończyć. Liberalna polityka społeczna nie powinna poprzestawać na walce o zapewnienie równych szans. Już najwyższy czas, aby liberalowie zerwali z mitem całkowitej odpowiedzialności jednostki za swoje życie prowadzącym do zgody na upadek tych, którym się nie udało. To jedynie w całkowicie abstrahującej od empirii społecznej wyobraźni neoliberalistów jednostka jest w pełni autorem swego życia. Faktycznie podlega ono determinacjom, na które ma wpływ ograniczony (miejsce urodzenia, pochodzenie klasowe, wyposażenie genetyczne, stan zdrowia). W tej sytuacji obarczanie jej *całkowitą* odpowiedzialnością za klęskę życiową jest niesprawiedliwe i prowadzi do krzywdzących uogólnień. Dlatego też polityka społeczna, która ogranicza się do zapewniania równych szans jest niewystarczająca. Potrzebna jest redystrybucja dochodu krajowego dokonywana przez państwo. Powinna ona prowadzić do zapewnienia stanu bezpieczeństwa socjalnego oraz wyrównywania nierówności społecznych, poprzez proces wspierania osób, które same nie są sobie w stanie poradzić w życiu (niepełnosprawnych, chorych, samotnie wychowujących dzieci, pochodzących z rodzin trwale upośledzonych społecznie, rodzin wielodzietnych, itd.). Zweryfikowaniu musi ulec liberalna zasada dawania wędki a nie ryby. Choć co do swej istoty słuszna nie zawsze się jednak sprawdza. Wielu osobom trzeba najpierw dać rybę, aby mogli w ogóle utrzymać wędkę w ręku, aby wciąż trzymać się wędkarskiej metafory. Jak pokazuje historia krajów, które od dawna wprowadzały w życie zasady państwa opiekuńczego (np. Szwecji) taka polityka społeczna opłaca się wszystkim, albowiem osoby, które otrzymały w pewnym momencie swego życia wsparcie od państwa posiadają często potencjał twórczy (także w sensie potencjału ekonomicznego), który nie mógł ulec wyzwoleniu aż do momentu uznania ich za godnych pomocy kandydatów do udanego

życia. Dlatego też nie można traktować pomocy społecznej jako jałmużny, ale jako inwestycję, która per saldo wszystkim się opłaci. Oczywiście w każdym systemie bezpieczeństwa socjalnego znajdują się osoby, które będą chciały „jechać na gapę”, pobierać stosowne świadczenia nic w zamian nie dając. Niemądre państwo opiekuńcze toleruje taką sytuację bez końca, mądre szuka sposobu, aby liczbę tych jadących na gapę ograniczyć do minimum. Pamiętać jednak należy, że część pomocy społecznej to musi być siłą rzeczy pomoc, by tak rzec, bezzwrotna, tzn. nie należy oczekiwać, że zawsze będzie ona powracać do społeczeństwa pod postacią osób podejmujących na nowo wyzwania życiowe w sposób, który przyniesie korzyści (także ekonomiczne) wszystkim. Sądzę jednak, że idea *solidarności społecznej* powinna znacznie osłabić liberalne wątpliwości, co do zasadności istnienia państwa opiekuńczego. Solidarność ta jest wartością samą w sobie i nie warto jej deprecjonować poprzez ścisły rachunek zysków i strat. Choćby dlatego, że jej realizacja pozwala wszystkim żyć w czymś, co Avishai Margalit nazwał „przyzwoitym społeczeństwem”, a zatem takim, które przede wszystkim docenia ludzką godność i eliminuje upokorzenia⁵. Ideały takiego przyzwoitego społeczeństwa powinny być bliskie także liberałom.

Pojawia się oczywiście kwestia kosztów solidarności społecznej, wyrównywania szans itd. Tu dotykamy sprawy niesłychanie drażliwej, a mianowicie podatków. Przyjęło się uważać, za sprawą neoliberalizmu, że liberałowie powinni *zawsze* optować za jak najniższymi podatkami. Uważam, że można być liberałem i twierdzić, iż w podatkach nie ma nic złego pod warunkiem, że są sensownie zbierane i jeszcze sensowniej wydawane. Neoliberalną mantrę o konieczności obniżania podatków uważam za szkodliwą społecznie. Moim zdaniem doprowadziła ona do obecnego kryzysu fiskalnego w świecie. Państwa pod wpływem ideologii neoliberalnej obniżały podatki, szczególnie ludziom bogatym (Ameryka jest tu doskonałym przykładem), co stawiało je w obliczu konieczności zadłużania się po to, aby wypełniać swe elementarne funkcje społeczne, z których nikt ich na szczęście nie zwolnił (nawet R. Reagan i M. Thatcher nie ośmielili się wprost zlikwidować państwa opiekuńczego w swych krajach, dążyli raczej do tego, aby umarło ono śmiercią naturalną w wyniku ograniczania środków na realizację jego zadań).

W moim przekonaniu idzie nie o to, aby podatki były jak najniższe, ale o to, aby państwo racjonalnie gospodarowało zebranymi kwotami. Liberałowie zatem zamiast nawoływać wciąż do obniżenia podatków powinni raczej skoncentrować się na wypracowaniu wskazówek dla państwa jak wydawać owe zebrane podatki, aby pobudzać wzrost gospodarczy i jednocześnie realizować cele społeczne solidarnego społeczeństwa. Jak pokazuje wiele przykładów (przede wszystkim państw skandynawskich, Niemiec i Austrii) wysokie podatki wcale nie muszą stanowić bariery rozwoju, wręcz przeciwnie mogą być elementem mądrego państwa, które redystrybuując dochód narodowy przyczynia się jednocześnie do wzrostu gospodarczego.